

Gwiazdozbiór Boya

ELIZA KĄCKA

Kiedy Boy – jako człowiek, nie marka – stał się Boyem? Ten pseudonim, esencja dezynwoltury, na którą pozwolić sobie mogą ludzie wolni od środowiskowego konwenansu, do dziś zastanawia.

KIM BYŁ? TŁUMACZEM GENIALNYM, acz nie bez uchybień. Przekładowcą literatury francuskiej, który pominął gigantów naturalizmu (może wiedział to samo, co już oni wiedzieli – i nie potrzebował tłumaczyć?). Przeszedł tak wiele wcieleń w światy literackie, że skompromitował wehikuł czasu.

Dr Tadeusz Żeleński, lekarz medycyny, rozdał więcej wejściówek do krain wyobraźni niż jego uprzywilejowani i nadkompetentni koledzy wytloczyli biletów (na pojedyncze spektakle literackie). Pracował za dziesięciu. Ba, nie za dziesięciu, ale za dwudziestu, bo przecież prowadził swoją kampanię społeczną o prawa ludzkie (do dziś niezakończoną) i walkę o rozum, której zakończyć niepodobna.

Nadto okazał się charyzmatycznym wykładowcą. Wykładowcą, przed którym w latach 30. – wbrew słuchaczom – zamknięto sale. A większego demokraty niż on nie można było mieć – choćby i za murami tymczasowych akademii. Dużo zrobiono, by został zapomniany. Może był zbyt niepojęty.

Nad Sekwaną

Rzadko się zauważa, iż powtarzanie to jedna z głównych cech manieri Boya. Powraca wciąż do wspomnień krakowskiej bohemy, praktyki lekarskiej, lat Wielkiej Wojny. Nie jest to tylko sentymentalne, nie jest to wyłącznie natrętne. Jest to umocowywanie się w istnieniu, które stało się Boyem. Właśnie! Kiedy Boy – jako człowiek, nie marka (sygnatura) – stał się Boyem? Mniemam, że przed performansami w Zielonym Baloniku. Nie opowiedzą nam o tym kalendaria oplecione anegdotą. Pytam siebie: czy Boy był już Boyem jako niesforny uczeń, bywalec knajp dorożkarzy? Czy jako student medycyny, krajacz trupów w prosektorium? Czy jako hazardzista – gracz w bakarata?

Czy jako nieszczęsny kochanek oziębłej Dagny Przybyszewskiej? Ten pseudonim, esencja dezynwoltury i samoumniejszenia, na które pozwolić sobie mogą ludzie wolni od środowiskowego konwenansu, do dziś zastanawia.

Odpowiedź sama na siebie naprowadza: Boy stał się Boyem w Paryżu, w roku 1901. Zima była sroga, początkujący medyk spędzał ją głównie pod kołdrą, szczękając zębami i czytając złachane książki – nabyte na chybił trafił u bukinistów na wybrzeżu Sekwany. Wspominał to po latach wielokrotnie – w tekstach tak ważnych, jak odczyt autobiograficzny, wygłoszony pod kopułą Sorbony (jedno z istotnych powtórzeń). Tym samym odpowiadał na pytanie, którego nie stawiamy. Przełomem w jego życiu była lektura Balzaka: „...pochłonałem kolejno kilkadziesiąt tomów (...). Ta lektura (...) przy akompaniamencie odgłosów Paryża dolatujących z ulicy dała mi parę tygodni spędzonych jakby w fantastycznym świecie. Wieczorem, kiedy trzeba było wyjść z domu, aby coś zjeść wreszcie, szedłem na miasto, błakając się po ulicach, żyjąc w dalszym ciągu z bohaterami »Komedii ludzkiej«”. Chłonał Paryż – i został wchłonięty.

Nad Balzakiem

Przygoda ta doprowadziła po latach do przekładu pięćdziesięciu siedmiu tekstów Balzaka (liczę wedle kalendarium Barbary Winklowej), w większości powieści. Zdaje się, iż tak zapamiętałym trudem spłacał Boy zaciągnięty u autora „Straconych złudzeń” dług. Co jednak, prócz młodzieńczej fascynacji, Boy mu zawdzięczał? By to zrozumieć, nie trzeba brnąć – choć zachęcam – przez dwadzieścia trzy tomy Czytelnikowskiej edycji „Komedii ludzkiej”. Dość sięgnąć na inną półkę, i to po jedno zdanie. W szkicu Theodora W. Adorna („Lektura Balzaka”, 1958) czytamy: „Utrata złudzeń, która

dała tytuł jednej z największych powieści Balzaka oraz nazwę rodzajowi literackiemu, ma swe źródło w doświadczeniu, że ludzie i ich funkcje społeczne zmieniają w przeciwnych kierunkach” (przeł. K. Krzemień-Ojak).

Adorno streszcza sytuację egzystencjalną Boya. Wyczerpany utratą złudzeń dwudziestosiedmioletni medyk odkrył nad Balzakiem, iż życie postępuje sobie, a wrogi mu reguły gry społecznej – na odwrót. A Balzak opisuje takich jak on nieudaczników, wtrąconych między bezwzględnych giełdźarzy, puszczałskie damy, nadętych arystokratów i cynicznych młodzieńców. Że patriarchalna tyrania takiego ojca, jakiego miała trójka młodych Żeleńskich, musi źle się skończyć (jeden z braci omal się stoczył, drugi niebawem miał odebrać sobie życie, trzeci wylądował w domu obłąkanych). Że dla kobiety można (jak on) zaprzedać się na lata. Że chciałoby się być poetą, a trzeba z miejsca wyrecytować po łacinie nazwę każdej z dwudziestu siedmiu kostek dłoni ludzkiej.

Cała późniejsza publicystyka Boya, od satyr „Zielonego Balonika” po najostrzejsze wypady w ćwierć wieku później, bierze stronę jednostki przeciw przemocy tego, co oficjalne i niepodważalne. Idzie pod prąd „funkcji społecznych”. Krytyka zakrawa na rewoltę.

Nad Dwudziestoleciem

Doktor Żeleński, acz internista, jak mówią, średniej miary, sam siebie zdiagnozował bezbłędnie. Istotnie, podlegał „wyobrażeniom przymusowym” (*Zwangideen*) i z zapamiętaniem im folgował. Stąd jego niepowtarzalny styl, gust do szyderstwa i pasji, opętańczej pracy i podszytych autoironią prowokacji. Działal, jakby nie znał lęku, nic sobie nie robił z przyjętych poglądów i postaw. Zdawał się fizjologicznie impregnowany na oportunizm i łgarstwo: nad-



DOMENA PUBLICZNA

zwyczajny okaz indywidualisty kierowanego wyłącznie nakazem wewnętrznym. Dałoby się znaleźć jeszcze paru takich (Stanisław Brzozowski na przykład), lecz pozbawionych jego wdzięku, topornych jak taran. Boy to fenomen bez precedensu. I następców, niestety.

Dwudziestolecie międzywojenne, na które przypada dwie trzecie jego aktywności twórczej, ma szczególny status. Liczące sobie trzy wieki klasycyzm i pseudoklasycyzm odwoływały się wciąż do antyku i grecko-rzymskiej mitologii. Zadaniem artysty było „pobieranie” stamtąd postaci, fabuł i wzorów – ze świadomością, że dawnym mistrzom nigdy nie dorówna. Któż mógłby przewyższyć Sofoklesa, Horacego? Otóż taką rolę w imaginariu zbiorowym twórców polskich odgrywa dziś Dwudziestolecie. To nasz wiek złoty, źródło legend i mitów. Kto dorówna Gombrowiczowi, Schulzowi, Witkacemu? Kto dosięgnie wyżyn „Kronik tygodniowych” Słomskiego, wierszy Leśmiana, piosenek Hemara? Kto może równać się z Boyem?

W samej pełni Dwudziestolecia opublikował Gałczyński poemacik „Piekło polskie” (1926). Tam, jako następca Dantego, zwiedza kręgi piekielne zaludnione przez literatów. Dostaje się wszystkim – z wyjątkiem jednej postaci bytującej poza strefą infernum, w zonie serio: ➔



Powyżej:
Józef Rapacki,
W kawiarni „Ziemiańska” w Warszawie,
pastel, ok. 1926 r.

Obok:
Karykatura Boya-Żeleńskiego
autorstwa
Kazimierza Sichulskiego,
ok. 1920 r.



DOMENA PUBLICZNA

→ *Nad Acherontem Boy, bóg zamyślony, chodził samotny, pluł i liczył gwiazdy.*

Jak wiele zmieścić można w dwóch wersach: hołd, diagnozę melancholii, pochwałę abstrakcyjnych, mało komu potrzebnych zatrudnień. Osobność zamyślenia. Boy pozostaje, w tłumie kosmicznych graczy, jedynym bogiem. Wdzięcznam dziś za tę projekcję, delegującą Żeleńskiego, tytana spraw społecznych, w kosmos obecności czystych. Może trzeba było lunety mistrza Ildefonsa, by dostrzec na niebie gwiazdozbiór Boya?

Nad stolikiem

I jeszcze jeden portret. Słonimski, dziesięć lat później, postanowił odmalować ekskluzywne towarzystwo spotykające się przy stoliku na legendarnym półpięterku Małej Ziemiańskiej. O czym to twórcy z kręgu Skamandra mogli rozprawiać przez kilkanaście lat – średnio pięć razy w tygodniu – i nigdy im to nie zbrzydło?

Pan Antoni daje próbkę dialogów, w których, rzecz jasna, uczestniczy Boy. A właściwie: nie uczestniczy. Podrzuca, owszem, dość drastyczny wątek, a potem tylko wzdycha. Co więcej: to Tuwim, Lechoń, Grydzewski, Parandowski, Witlin, Nałkowska, Krzywicka, Leśmian, sam Słonimski i reszta popisują się przed nim. Boy jest ich publicznością. Ponoć był z tego znany, żywioł zbiorowego dowcipu bardziej przygnębiał go, niż bawił. Choć, warto pamiętać, niczego nie robił bez przyjemności.

Trzydzieści lat wcześniej, z estrady Zielonego Balonika, sypał rymowane facecje, mając przed sobą wyborową publiczność. Teraz sam okazał się publiką. Tak czy owak, dwukrotnie w życiu znalazł się Boy w centrum środowiska ożywionego nadzwyczajnym poczuciem humoru, kipiącego od talentów – i nie bez zachwyty wpatzonego w siebie. „Zielonobalonikowcy” byli światem w sobie – skamandryci także. Dwa razy to samo doświadczenie – to niemal nie mieści się w jednym losie. Nawet jedna taka przygoda wykraczałaby poza średnią.

W roku 1934 ukazał się we Lwowie traktat Floriana Znanińskiego „Ludzie terazniejsi a cywilizacja przyszłości”. Socjologia bywała wówczas domeną idei prostych. Jeden z patentów Znanińskiego to podział ludzi na cztery grupy. I tak: człowiek dobrze wychowany to ktoś, kto uwewnętrznia opinie środowiska i stara się do nich



Witkacy, Portret Tadeusza Boya-Żeleńskiego, 1928 r.

dostosować. Człowiek pracy podporządkowuje się kontrolującej go grupie; zgadza się na uczestnictwo w strukturze hierarchicznej. Człowiek zabawy, gardząc pracą najemną, działa w kręgu towarzyskim kreującym wciąż nowe, bezinteresowne gry. Wreszcie człowiek zboczeniec (ta nazwa!), tzw. nadnormalny, inicjuje bunt przeciw regułom społecznym, dążąc do zmiany zastanego ładu.

Znaniński uznał tym samym symboliczny patronat nadnormalnych, widząc w nim szansę na niedogmatyczność, otwartość na „inne kręgi kulturowe”. Podtyp zboczeńca sam stawia sobie cele, sam dobiera środki. Innymi słowy, uosabia geniusz samorozwoju. Boy mógł tam przeczytać o sobie. Byłby tym samym, paradoksalnie, nadnormalnie wyzwolonym człowiekiem pracy (mało co może opinia ocenić tak obiektywnie jak prze-

kłady). W sumie: melancholik-entuzjasta – wielka rzadkość!

Nad słówkiem

Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, Konstanty Jeleński, Czesław Miłosz – znakomite grono, dla którego Boy-Żeleński tak jakby nie istniał. Dla kręgu paryskiej „Kultury” to kompletny *noname*. Wyjątkiem Gombrowicz: ten darzył go szacunkiem. Stempowski raz jeden poświęcił mu słówko, pisząc o „zaglądaniu pod ogon historii literackiej”. A w grubym tomie przedwojennej publicystyki Miłosza Boy wspomniany jest szerzej tylko raz: że sprowadził do Warszawy pamiętnikarza Jakuba Wojciechowskiego i oprowadzał go po lokalach niby małpę na sznurku.

Słowem: ci niewątpliwi modernizatorzy cywilizacji polskiej w arcywłoskim stylu skreślili konkurenta. Cała proble-

matyka społeczna Boya: reforma małżeńska, regulacja urodzin, przesady stanowe, zapóźnienie obyczajowe, ingerencja kleru w prawodawstwo, załganie historyków literatury, a nawet prawo autorskie, by nie wspomnieć o próbie nawrócenia publiczności czytającej na racjonalizm francuski traciły, jak się zdaje, wagę wobec faktu, że Boy współtworzył literacki establishment. A zatem wszystko, co jego, było z zasady fe. Znać w tym reakcję pokoleniową, efekt awersji ludzi lat 30. do „Wiadomości Literackich”.

Podobnie z niechęcią środowisk socjalistycznych. W wydanej parę lat temu ogromnej biografii Jana Strzeleckiego, który był socjalistą wzorowym, człowiekiem bez skazy, podejmującym całe życie kwestie modernizacji społeczeństwa polskiego, nazwisko Żeleńskiego nie pada ni razu.

Nie nadawał się i na wolnomularza, choć – zbrojny w mocne rekomendacje łóż francuskich – postanowił tam znaleźć jakiegokolwiek instytucjonalne zaplecze. W Warszawie oznajmiono mu, że nie może być masonem, „bo jest błazen”. Łoża to nie kabaret. Istotnie, trudno przedstawić sobie członka tej zacnej konfraterni, który – jak opisuje – zaszedłszy do kawiarni, widzi wokół „same zdziury” i chciałby im rzec: „Czemu mnie nie witacie? To ja, siostra wasza, dziwka, dobrze znana w Kielcach i Radomiu, która wyrwana z ojczyzny przyjechała, zawadziwszy o Paryż, obrabiać portowe miasta...”. O to słowo „dziwka”, które zmieniono mu w druku, Boy procesował się wkrótce z redaktorem „Czasu”. W oczach wolnomularzy był skończony.

Nad Mickiewiczem

Mimo aplauzów w Ziemiańskiej i entuzjazmu czytelników, Boy czuł się samotny. Co można zdziałać w pojedynkę? Dopiero w 1925 r., po kongresie PEN-Clubów, doznał w Paryżu „olśnienia”: „Zastanawiałem się mianowicie, że w naszej epoce są ludzie uczeni i mniej uczeni, mędrsi i mniej mądrzy, ale że zanikła profesja, która istniała w starożytności: mędrzec. (...) Mędrzec nie potrzebował pisać książek, nie potrzebował robić wynalazków; (...) wystarczyło parę rysów, parę gestów – mędrzec. To był pewien stosunek do życia, do siebie samego, do świata. Taki Diogenes zerwał z kobietami i sprawił sobie drewniany kubek: mędrzec. Jakiś tam

Greczyn nie uznawał innej linii, tylko prostą: przyjaciele musieli za nim chodzić i pilnować go, aby nie wlaźł do rzeki albo nie rozwalił sobie głowy o drzewo: mędrzec”. Słowem, sam poczuł się mędrce, co skończyło się marzeniem o zamówieniu sobie wizytówek z inskrypcją „Boy mędrzec”. Nigdy ich nie zamówił. Nie miał czasu.

Nie miał, gdyż – zyskawszy właściwą samotnikom świadomość pełnej niezależności – rzucił się w swoje najśłynniejsze kampanie. Mickiewicz wyszedł z jego pralni już nie tym samym Mickiewiczem: nie była to rewizja, lecz rewindykacja człowieczeństwa. Boy trafił w najsłabszy punkt kultury polskiej: obłudę. Wielkiego poetę przywłaszczyli sobie hipokryci. Czego tam nie ma: od bezwstydnego niszczenia dokumentów po rozerotyzowane sekciarstwo. Czasem trop wiódł na manowce, lecz sama możliwość wentylowania spraw, o których trzy czwarte wieku milczano, stanowiła ewenement. Boy po raz pierwszy okazał się groźny. „Całe pokolenia polonistów uprawiają wciąż swoje ewolucje na fałszowanych listach Mickiewicza”. I nikt tego już nie rozplącze.

Boy miał z lat krakowskich znajomego prawnika, który w Jamie Michalikowej zwykł strzelać z rewolweru w sufit. Zwał się Zdzisław Piernikarski i w wolnej Polsce został prokuratorem Sądu Najwyższego. To on instruował Witkacego, jak opisać w „Nienasyceniu” kwaterymajstra Kocmołuchowicza, by nikt nie mógł oskarżyć powieści o obrazę Marszałka (Witkacy w rewanżu uczył go jazdy na nartach na stokach Antałówki).

Tytułem dawnej znajomości Piernikarski stał się wtyczką Boya w Sądzie Najwyższym, gdzie debatowano właśnie nad nowym kodeksem karnym. Opowieści zaś o tym, co dzieje się w Komisji Kodyfikacyjnej, były porażające. Boy poświęcił im osobne studium. Gdy Komisja Kodyfikacyjna – wskutek protestów Kościół – przegrała walkę o reformę prawa małżeńskiego i niekaralność przerywania ciąży, kontynuował zmagania z „piekłem kobiet wciąż otwartym”: „12-letnia dziewczynka, zgwałcona i zapłodniona przez własnego ojca, musiała donosić i urodzić dziecko, bodaj kosztem własnego życia; i żaden lekarz nie mógł jej uwolnić od tej potwornej ciąży...”. Była to bodaj najważniejsza, a z pewnością najgłośniejsza

szka kampania Boya: argumentuje w niej, jakby pisał to dziś.

Nad listami

Czyta Boy list swego podopiecznego. Opisuje mu Wojciechowski los sąsiada, któremu z łaski dano lokum w chlewie, chlew spłonął, chłop ze zmartwienia umarł i wdowę z piętnaściorgiem (!) dzieci umieszczono na jakimś strychu. „Jeszcze troje żyje z tego całego mendela, ale drugie pomarły”. I tu Boy bierze do ręki ołów („wyobrażenia przymusowe”). „Piętnaścioro dzieci na troje żywych. (...) To znaczy sto trzydzieści pięć miesięcy ciąży; może drugie tyle karmienia; piętnaście porodów i pójogów. (...) Piętnaście taks za chrzciny, a dwanaście za pogrzeby (...). I to wszystko, aby wyprodukować troje dzieci, o ile tych troje się wychowa”.

Oto czemu pisarz ma obowiązek – w zastępstwie wszystkich innych – zabierać głos. Wielkie kampanie Boya dały mu nieporównaną wiedzę o polskim społeczeństwie, a ta ostatnia – świadomość mrocznych stron II Rzeczypospolitej, jakże odległych od beztroskiego grona z półpięterka Ziemiańskiej.

Boy bierze drugą kartkę. „Ile zabobonów, ile interesów wspiera się na nieograniczonej płodności? Najpierw kler, który pod naciskiem częściowo ustępuje, ale niechętnie. Dalej kapitalizm, widzący taniość robotnika w jego nadmiernej podaży. (...) Militarizm, widzący siłę obrony czy agresji w ilości rekruta. Wreszcie rozmaite interesy zawodowe związane z tym, aby się ludzie mnożyli, choćby po to, aby mieli rychło zegnać się ze światem: fabrykanci kołysek, smoczków, mączki Nestle’a i trumien”. Za takie dywagacje okrzykną go marksistą. A żywym nie pomoże. Zresztą, nawet Fredry nie udało się Boyowi uratować: stał się szacownym (czyli fasadowym) zabytkiem. Wszystkie kampanie dr. Żeleńskiego okazały się przegrane.

© ELIZA KĄCKA



■ Monika Śliwińska, **KSIAŻKI. BIOGRAFIA TADEUSZA BOYA-ŻELEŃSKIEGO**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2024